Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu
1928
Kolekcja Emila Kornasia
Rok V.

przechodzą przez rogatki miejskie jakieś bliżej nieokreślone indywidua, które jednak wykazują cechy organizacji ruskich siczowników. Również adj. 15 pp. austr. dr. Nagler, dziś pułk. W. P. w gł. komendzie Policji Państwowej, który był komendantem legjonowej kompanji w Kadrze tego pułku, donosił drowi Hartlebowi o zarządzeniach i wypadkach, które wskazywały na akcję ruską.

Ze strony red. Kurjera Lwowskiego otrzymaliśmy wiadomość, że 30 października w gmachu żandarmerji austr. przy ul. Sapiehy 1, wydalono 17 żandarmów polskich, polecając im udać się na zachód, pozostawiając we Lwowie wyłącznie rusinów.

Należy nadmienić, że wskutek zdrady przez któregoś z bliższych współpracowników, Austrjacy w pierwszych dniach października 1918 roku przeprowadzili rewizje domowe u wielu z naszych, szukając Peowiaków i oskarżyli o zdradę stanu dra K. Hartleba, inż. Zdzisława Warchałowskiego, Franciszka Sikorskiego, Juljusza Zulaufa, Adama Próchnika, Cybulskiego, L. Novyego i innych. Oskarżono ich o przygotowanie ruchu wojskowego, wywóz ludzi i amunicji, wystawianie fałszywych rozkazów, marszrut i t. p. Śledztwo było prowadzone energicznie a obwinonym groziła ciężka kara.

Dzień 1 listopada uwolnił oskarżonych, przebywających we Lwowie od następstw tego procesu.

Podnieść muszę, że wielu austr. oficerów-Polaków zgłosiło się już dnia 30 października 1918 r. do współpracy, a między innymi kpt. Walerjan Wiczyński, dziś kom. Okręg. Policji Państw., oddając do dyspozycji wielkie magazyny amunicyjne w Starem Siole p. Lwowem, inny przywiózł z Uhnowa cały wagon amunicji dla polskich organizacji, niestety, wagon ten dostał się już do rąk Rusinów. Fakty te stwierdzają możność współpracy i pomocy z zewnątrz na wypadek zajęcia miasta przez nas w nocy 31 października na 1 listopada.

Wróćmy jednak do dalszej działalności polskich wojskowych organizacji.

Komendant POW. De Laveaux zarządził mobilizację P. O. W. na godz. 9-tą wieczorem w Domu Akademickim, a chcąc nawiązać kontakt z innemi organizacjami, zwrócił się do kpt. Mączyńskiego, z którym poprzednio konferował, z propozycją zwołania wspólnej konferencji. Odbyła się ona dnia 31 października o godzinie 2 popołudniu w mieszkaniu kpt. Mączyńskiego przy ulicy Senatorskiej 7, przy udziale kpt. Mączyńskiego (P. K. W.), por. Laveaux (P. O. W.) i por. Zbycha-Krona (Wolność).

Laveaux przedstawił pogłoski i fakty o zamiarach Rusinów i zaproponował wspólną akcję celem opanowania Lwowa.

Kpt. Mączyński nie wierzył w te pogłoski i nie uważał zajęcia miasta za coś niebezpiecznego. Oświadczył, że „wycofamy się na punkty w mieście lub poza miastem i rozpoczniemy systematyczną walkę". Akcję ze strony polskiej uznał za wielkie ryzyko.

Dnia 1-go listopada miało się odbyć następne zebranie.

Tymczasem niebezpieczeństwo ruskie stawało się coraz bliższem.

Po wyjeździe pułk. Wład. Sikorskiego do Przemyśla, zarządził kpt. Ant. Kamiński mobilizację baonu kadrowego P. K. P. o godz. 6 wiecz. w Szkole Sienkiewicza, która poprzednio w porozumieniu z czynnikami miejskimi, ze względu na swe położenie przy drodze do Przemyśla, wyznaczoną została na ten cel. Równocześnie starał się kpt. Kamiński nawiązać kontakt z P. O. W.

Po porozumieniu się kpt. Pierackiego z por. Laveaux i mjr. Śniadowskim, zwołano na godzinę 6 wieczorem dnia 31 października konferencję w mieszkaniu mjr. Śniadowskiego (przy ulicy Łyczakowskiej 16). Przybyli z P. O. W. Laveaux, z „Wolności" por. Kron i Nawrocki, z P. K. P. kpt. Kamiński, z P. K. W. kpt. Mączyński, a obecni byli także mjr. Śniadowski i kpt. Pieracki.

Zagaił zebranie Laveaux i zaproponował połączenie się wszystkich organizacji i ułożenie wspólnego planu działania.

Pieracki zaproponował wybrać jednego wspólnego dowódcę. Kamiński, zawiadamiając zebranych o rozkazie Rady Regencyjnej i pułk. Sikorskiego, uważając jedynie siebie za wyznaczonego przez wyższe władze polskie, odmówił uznania kogo innego za dowódcę.

Po zaproponowaniu na powyższem zebraniu przez kpt. Pierackiego, by dowódcą wybrać najstarszego rangą majora Śniadowskiego, kpt. Mączyński oświadczył, że nie uznaje „legjonowych" rang i nie podda się ani Śniadowskiemu ani Kamińskiemu. Jedynie Laveaux zgodził się oddać siebie i P. O. W. wszelkiej ustanowionej władzy. Po dalszej dyskusji i różnych propozycjach, z powodu spóźnionej pory, odroczono konferencję, którą następnie zwołano tegoż dnia o godzinie 9.30 wieczorem przy liczniejszym współudziale oficerów w Domu Akademickim przy ul. Łozińskiego.

W tym czasie zgłosił się do kpt. Kamińskiego przy ul. Akademickiej 5, dr. Dubanowicz i oświadczył, że dowiedział się, iż kpt. Kamiński zamierza z innemi organizacjami podjąć walkę orężną i zająć Lwów. Wobec tego on wycofuje młodzież akademicką. „Nie mogę wywołać bratniej walki i wziąć za to odpowiedzialności" — były słowa dra Dubanowicza, tem więcej, że dnia 3 listopada zjechać ma do Lwowa ks. Witołd Czartoryski, mianowany przez Radę Regencyjną namiestnikiem.

Kpt. Kamiński odpowiedział na to, że nie dąży do walki, lecz zamierza siłą zbrojną zabezpieczyć gmachy użyteczności publicznej. Na to dr. Dubanowicz odrzekł, że zastanowi się co do użycia mło-

dzieży do tego celu. Przyobiecana więc organizacja młodzieży narod.-dem. nie stanęła do szeregu, chociaż poszczególni członkowie tych organizacji znaleźli się natychmiast w szeregach polskich już walczących.

Tymczasem odbywała się w domu Akademickim mobilizacja P. O. W. Z powodu dalszych wiadomości o zamierzeniach Rusinów, zaproponował Laveaux, aby wieczorem przed Rusinami obsadzić miasto.

W tym celu wysłał komendant P. O. W. silniejszy patrol z piszącym te słowa na główną pocztę, by zająć telegraf i telefon. Ludzi do tego patrolu w większej części wyznaczył dr. Nowak-Przygodzki, mając do dyspozycji akademików, którzy zjechali do Lwowa na Zjazd i z którego to lona wyjść miała przy udziale innych organizacji Straż Akademicka. Nawiasowo nadmienić trzeba, że patrol ten, uzbrojony w rewolwery i kilka ledwie karabinów, po zajęciu gmachu pocztowego wycofany został około godziny 11-tej. W centrali telefonicznej pozostał tylko łącznik dla meldunku Komendzie P. O. W. o dalszych zajściach w tym gmachu.

Nie tu miejsce, by roztrząsać, dlaczego w tym dniu telegraf obsadzony był wyłącznie urzędnikami Rusinami, bowiem jedynie naczelnik oddziału tego p. Krzemiński był Polakiem i zwrócił d-cy patrolu uwagę na niebezpieczeństwo zajęcia miasta przez Rusinów, o czem głośno wszyscy urzędnicy rozprawiali. Tego też naczelnika nad ranem siłą usunęli jego właśni podkomendni i koledzy.

Mimo to jednak nie wszyscy wierzyli w zbliżający się zamach ruski, tem więcej, że niektóre koła polityczne po rozmowie p. ministra Głąbińskiego z namiestnikiem Huynem zapewniały, że miastu nic złego się nie stanie. A że i kpt. Mączyński liczył się z zapewnieniem tych sfer i że nazajutrz miała zjechać Komisja Likwidacyjna, więc i na ostatniej konferencji nie doszło do żadnego porozumienia w sprawie akcji, a nawet i dowództwa. Zgodzono się tylko, by P. K. P. utrzymała pogotowie w szkole Sienkiewicza, a POW. zostawiła oficera inspekcyjnego oraz służbę wywiadowczą. Wynikiem tej konferencji było rozpuszczenie zebranych przeszło 400 Peowiaków i sympatyków, zatrzymano tylko posterunek w Domu Akademickim i silniejszy patrol przy pl. Akademickim 1, gdzie komendę objął por. Deschou, któremu przydzielono jedną mitraljezę, zaś por. Wasilewski z większą liczbą (około 40) Peowiaków odmarszerował do Domu Techników, gdzie było więcej Techników, przybyłych na Zjazd. Po drodze rozbroił por. Wasilewski oddział austr. w szpitalu na Technice, zabierając kilkanaście karabinów. Również większy oddział z kpt. Wiktorem Ludwikiem Kopciem udał się do Rzęsny Polskiej, celem rozbrojenia i zajęcia stojącej tam baterji austr., której komendantem był ówczesny kpt. Łodziński, dziś pułk. artylerji.

Oddział z kpt. Tatar - Trześniowskim, liczący 40 ludzi, około godziny 8 odmaszerował do Szkoły Sienkiewicza*). Kiedy później wieczorem kpt. Tatar kartą służbową zapytał kpt. Kamińskiego, co ma robić na wypadek zaatakowania Szkoły przez Rusinów, otrzymał na tej samej karcie odpowiedź: strzelać. Tak więc nawet uzbrojony oddział liczył się jeszcze z ewentualnemi następstwami politycznemi.

Kpt. Trześniowski zażądał również od kpt. Kamińskiego pieniędzy na zakupienie prowiantów dla załogi, której część zamierzała udać się do domów dla zaprowiantowania się. By nie dopuścić do zmniejszenia stanu tej załogi w Szkole Sienkiewicza, kpt. Kamiński poprosił o pomoc p. Emilję Jędrzejowiczową, szczególnie odznaczoną w obronie Lwowa, która przysłała 1000 koron, a później 4000 koron. Kwotę tę odesłał kpt. Kamiński do dyspozycji kpt. Trześniowskiego.

* * *

Wśród obrad i nieporozumień przeszedł dzień 31 października 1918, w nocy miasto zajęte zostało przez wojska rusko-austr. Zamachu dokonały: kadra austr. 15 pp., 19 pp., 41 pp., 3 bat. strzelców i 3 bataljon asystenc. Pozatem około 1000 ludzi z ówczesnej policji wojskowej. Razem było we Lwowie około 12.000 Ukraińców, zaś pułk. Wyszywany zdążał z 3.000 siczowikami z pod Czerniowiec do Lwowa.

Kilkuset ochotników polskich rozeszło się do domów i trzeba było ponownie aparat mobilizacyjny puścić w ruch, by młodzież naszą zwołać już do walki o Lwów.

Dzień 1 listopada obudził obywateli miasta Lwowa pod znakiem niebiesko-żółtej chorągwi, panoszącej się na wieży prastarego polskiego ratusza lwowskiego. Znikła odrazu wczorajsza niemoc i zabrano się energicznie do pracy. Komendant P. O. W. wydał powtórny rozkaz mobilizacyjny, wysyłając kurjerów i komendantów poszczególnych oddziałów, a równocześnie rozrzucono ulotki z wezwaniem do zbiórki w Domu Akademickim i Domu Techników. Ulotki te pisane były na maszynie. Przedtem doszły już wiadomości o śmierci ppor. leg. Andrzeja Bataglji, peowiaka, który, wysłany z wywiadem do koszar austr. 15 pp., zginął tam w nocy z 31 na 1 od kuli karabinowej z rąk żołnierza ruskiego. Była to pierwsza śmierć żołnierza polskiego z rąk wroga.

Także nad ranem przy ulicy Batorego (róg Łozińskiego) zmierzył z karabinu żandarm do wychodzącego z Domu Akadem. w kurtce legjon. ppor. Feliksa Daszyńskiego (Bitwa) z okrzykiem „stij", jednak w chwilę potem żandarm ten leżał już martwy na bruku, zastrzelony przez ppor. Daszyńskiego.

Był to pierwszy strzał na ulicy miasta! Równocześnie PKP. także ulotkami wzywała do Szkoły Sienkiewicza. Wraz z ulotkami wysłano z Redakcji „Wieku Nowego" chorągiew o barwach narodowych, którą natychmiast wywieszono na Szkole Sienkiewicza, jako na pierwszej placówce, zaatakowanej przez uzbrojony patrol ukraiński.

W Domu Akademickim zebrała się znów nasza „starszyzna" na dalsze obrady. Stąd udano się do mieszkania dra Wechslera przy ulicy Fredry, gdzie zastanawiano się nad kwestją obrony. Sprawa komendanta skończyła się wyborem kpt. Rożena-Barskiego, znanego z bojów legjonowych oficera artyleryjskiego, dziś generała.

Po przemówieniu kpt. Mączyńskiego zgodzono się na akcję zdobycia broni na dworcu czerniowieckim. W tym celu wyznaczono zbiórkę obok kościoła Elżbiety przy ulicy L. Sapiehy i Gródeckiej. Akcją tą kierować miał osobiście kpt. Rożen. Jeden z oficerów P. K. W. przydzielony do służby w tych magazynach, miał ułatwić zajęcie składów. Obok kościoła zebrało się około godziny 11 rano więcej gawiedzi i młodych chłopców, ale brak było pewnego kierunku; nie było tam bowiem zorganizowanych jednostek. Rozbrojono wielu żołnierzy ruskich i więcej austrjackich, powracających z dworca, usiłowano wedrzeć się do szkoły Konarskiego, by rozbroić kwaterujący tam węgierski bataljon etapowy, co jednak nie udało się, gdyż dowódca tego bataljonu zagroził użyciem karabinu maszynowego, wystawiając ten karabin i ludzi z karabinami ręcznymi w oknach i drzwiach szkoły. Na drzwiach u wejścia napisał na większym arkuszu papieru taką odezwę:

„Wir sind Ungarn, wir sind neutral, wir wollen nur nach Hause fahren!"

Pozostawiono na razie ten bataljon w spokoju.

Przed „wymarszem" tej garstki harcowników na dworzec czerniowiecki zjawił się samochodem na placu obok kościoła oddział ruski z dwoma karabinami maszynowymi i ostrzeliwał tłum, który skrył się w kościele i w pobliskich domach. Akcja nasza spełzła więc na niczem. Kilkanaście karabinów manlicherowskich, kilka rewolwerów i szabel, ukrytych początkowo w kościele, odniesiono później do szkoły Sienkiewicza.

Kapitan Rożen nie rychło powrócił do miasta.

Zebrani przy ulicy Romanowicza 9, nie zrazili się ogólną nieczynnością i wtedy w nieobecności por. Laveaux zwrócił się ppor. Aleks. Kron-Zbych (z „Wolności") do kpt. Mączyńskiego z propozycją, by rozpocząć na własną rękę jakąś akcję. Kpt. Mączyński nie uznał poprzedniego wyboru kpt. Rożena, wobec tego ppor. Kron, nie chcąc stwarzać w takiej chwili nowych trudności, zaproponował kpt. Mączyńskiemu objęcie dowództwa.

Po przyjęciu tego wyboru, przy którym nie było kpt. Kamińskiego, ustalona została komenda i rozpoczęła się organizacja tak komendy, jak i obrony, względnie walk.

Mimo braku reprezentantów P. K. P. w czasie tych obrad i wyborów, kpt. Tatar-Trześniowski w szkole Sienkiewicza godnie reprezentował tę organizację. Około 6 rano wysłał oddział ppor. Felsztyna po broń do koszar policji obok rogatki przy ulicy Gródeckiej. Po krótkiej potyczce wrócił ppor. Felsztyn z 20 karabinami i amunicją. Po godzinie 9-tej rano zbliżył się oddział ruski do Szkoły, lecz przyjęty strzałami ludzi Tatara, cofnął się. Była to więc pierwsza potyczka polsko-ruska. Tem samem i P. K. P., oczekująca rozkazów z Przemyśla, weszła w stan obrońców Lwowa, mimo, że całkowicie nie uznawała jeszcze wyboru kpt. Mączyńskiego jako dowódcę. Od tej chwili nie było już różnych organizacji i obradujących oficerów, powstała Komenda i Sztab stała się ośrodkiem ogółu obrońców Lwowa, którzy przez 22 dni krwawili się o każdą piędź ziemi, o każdy dom, ulicę, o całe miasto.

Wysiłki dzieci lwowskich były ogromne, przeszły one wszelką możliwość wytrzymania. Jednak wiara, że Wódz Naczelny, który dnia 11 listopada powrócił z Magdeburga, pomyśli o skutecznej obronie Lwowa — dodawała otuchy i energji.

Odsiecz pułk. Tokarzewskiego przybyła w ostatniej chwili, wspólnemi siłami rozpoczęto atak ostatni i dnia 22 listopada popołudniu nie było już u nas wojsk obcych.

Historja, oddając cześć Obrońcom Lwowa, przyzna tej komendzie wiele zaszczytnych poczynań i godnie postawi ją, wraz z wszystkimi Obrońcami, razem z tymi, którzy w roku 1794 bronili Warszawy w dniach 17 i 18 kwietnia lub tegoż roku Wilna z Jasińskim na czele.

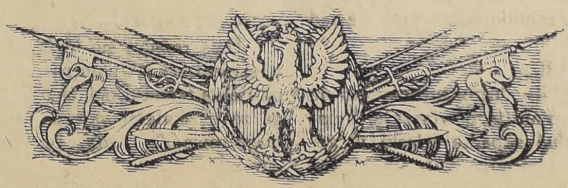

Cmentarzyk Legjonowy w Marcinkowicach

Na cichym, polnym cmentarzyku pod lasem w Marcinkowicach, śpią wiecznym snem Legjoniści, którzy brali udział w walkach pod Nowym Sączem.

Dziś, gdy obchodzimy święto odzyskania Niepodległości, czyż nie trzeba o nich wspomnieć? Wszak to byli Legjoniści I-szej brygady pod wodzą brygadjera Piłsudskiego, którzy pierwsi stanęli do apelu, jedni z pierwszych oddali Ojczyźnie młode życie w ofierze.

Było to 6-go grudnia 1914 r. Na skromne siły Legjonistów — broniących odcinka Marcinkowice-Bdiłostów — szła ogromna fala wojsk moskiewskich. Legjoniści nie cofnęli się z zajętego stanowiska. Wśród straszliwego ataku nieprzyjacielskiej artylerji bronią wyznaczonej pozycji.

Pocisk szrapnela trafia ukochanego przez towarzyszy kapitana Milkę. Obok pada 6 legjonistów.

Piekielna walka wre.

Brygadjer Piłsudski wycofuje się do Pisarzowej. Na pobojowisku zostają zabici. Oto ich nazwiska:

Kapitan Władysław Milko Lwów; Władysław Kołodziej. Stryj; Stanisław Trojanowski, Lwów; Stefan Wykowski, Borysław; Władysław Szymonowicz. Brzesko; Stanisław Mandrak, Lwów; Józef Wnęk, Zakopane.

Miejsce ich wiecznego spoczynku „dla Ciebie Polsko i dla Twej chwały" niech będzie otoczone nimbem snów Polaka o wolnej Ojczyźnie, niech będzie wspomnieniem „trudów i znojów" przecudnej epopeji legjonowej.

Gdy mija 10 lat odzyskania wolności, myśląc o cichym cmentarzyku w Marcinkowicach, wspomnijmy na słowa poety legjonowego Mączki:

...kości Wam w płowe siejem pola,
aby się żyzną stała rola...

Wszak oni nietylko życie oddawali, czuli, że będą zarzewiem pracy pozytywnej, którą my prowadzić mamy.

— — — — — — — —

W jesienne dni listopadowe rokrocznie zbiera się młodzież harcerska — szkół nowosądeckich — na cmentarzu w Marcinkowicach, aby oddać hołd poległym.

W tym roku uroczyściej obchodzono tę chwilę. Wokoło cmentarza — przybranego zielenią i światłem — ustawiły się długie szeregi młodzieży harcerskiej, przybył oddział Strzelców z Marcinkowic, dzieci szkolne i lud wiejski, pozatem przybyły delegacje Związku Legjonistów i Strzelców z Nowego Sącza, 1 P. S. P. i inni goście.

Po odprawieniu modlitw przez ks. Adamczyka i odśpiewaniu pieśni pobożnych, odczytano przebieg walk pod Marcinkowicami.

Do zebranych przemówił najpierw wiceprezes Związku Legjonistów z Nowego Sącza p. Wawrzykowski, następnie po deklamacjach i pieśniach, odegranych przez muzykę 1 P. S. P., przemówił imieniem tegoż pułku pułk. Krudowski, oddając hołd poległym bohaterom. Nastąpiło składanie wieńców u stóp pomnika, a to od Związku Legjonistów, Związku Strzeleckiego i 1. P. S. P.

Piękna ta i rzewna uroczystość świadczy, że nie zapomniano o tych, których bohaterstwu zawdzięczamy możność obchodzenia uroczystości dziesięciolecia odzyskania Niepodległości.

Podnieść należy z uznaniem obywatelskie stanowisko p. Morawskich z Marcinkowic, którzy przyczynili się wydatnie swego czasu do wybudowania pomnika na mogiłach poległych legjonistów, opiekują się cmentarzem, a i obecnie nie szczędzili trudów, by uroczystość ta wypadła jak najokazalej.

(Według „Kurj. Podhal." z listop. 1928).

Wspomnienia z Karpat

Jutro będziesz się bił!...

Wązką drogą, pełną wyboi, posuwa się kolumna w zbitych czwórkach. Przy jednym z większych wyboi żołnierz jeden — ot taki sobie legun — robi skok przez kałużę i nadeptuję nogę sąsiada. Ten zaś nie zostaje dłużnym i z tąd awantura.

Jutro będziesz się bił!...

— Albo to prawda. — legun mruczy coś do siebie już dwa tygodnie nam to powtarzają. Tymczasem chodzimy oglądać zapadłe wioski w górach, to znów na jakąś tam górę Kuk. Razby już zacząć — potośmy tu przyszli... Bo co za wygody po takich kwaterach, gdzie to w ciasnej izbie walamy się po dwudziestu na kupie. A potem te marsze, gdzie to idąc śpimy i rozbijamy głowy o słupy i drzewa przydrożne, a częściej jeszcze nosy o menażki, przyczepione na tornistrach poprzedniej czwórki...

Dziś raźniej się idzie, bo nie jest to marsz ubezpieczony i wolno rozmawiać. Żołnierze dowcipkują na temat drogi, że taką, choćby do Petersburga za moskalami marsz... to znów „my chcemy maszerować:", gdy przypadkowo marsz się „urwał".

Droga ściskana górami, podmyta rzeką, która

wzdłuż nie płynie; w dziesiątku trzecim km. przygniotła żołnierzy. Ciężar naboi i rynsztunku podwoił się. Ten i ów spogląda wprzód w nadziei spotkania obszerniejszej polany a tam odpoczynku bataljonu. Nic i nic; tylko skały sterczące. Nareszcie za skrętem drogi spotykamy wymarzoną polanę, a w niej ślady obozowiska. Pełno niedopałków drzewa, popiół, szmatki, papierki i popotrącane kamienie. Na środku zaś jakiś nagrobek. Na wielkim głazie dwa piszczele w krzyż złożone, a poniżej napis: „Tu poległ I-szy baon z głodu" Domyślamy się, że tędy przechodził I. bat. 2 pp., odpoczywając zjadł krowę i pomnik postawił z kości. Nam tu poledz nie było danem. Rozkaz maszerować dalej! A jutro — może będziesz się bił!...

* * *

Nocleg wypadł na biwaku, przy rozchodnej drodze z Königsfeldu do Brusztury. Broń ustawiona w długą linję kozłów, a obok złożony rynsztunek, majaczyły w cieniach nocy, przy lichym świetle właśnie rozpalonych ognisk. Lecz niebawem podsycone ogniska suchem drzewem z powalonych płotów, buchnęły jasnem płomieniem szeroko ku górze. Gromadkami przysiedli doń żołnierze, susząc obuwie i zgniłe onuce, z których smrodliwy opar się unosił. Niektórzy nucili sobie — trzęsąc manierkami — ...nalejcie do czarki, do ognia dołóżcie nam drew... Zapał do śpiewu udziela się innym, podchwytują ją i rozlega się... nie straszny nam moskal, gdy głodu nie mamy... a potym inna i znów inna pieśń za pieśnią płynie, a góry echem odpowiadają.

Przy ogniu, gdzie siedziało większe grono, usiadł porucznik. „A co, panicze?" zagadnął.

W odpowiedzi żołnierze podjęli dalszą strofkę pieśni: „Nasz porucznik naprzód jedzie — konik jego smutno idzie". A porucznik zamyślił się, patrząc w ogień, jakby sumował robotę nieodrobioną, a której ominąć się nie da, a od czasu do czasu grzebał w ogniu patykiem. I długo w noc łuna czerwieniła się nad obozem. A pieśń odbijana po tysiąc razy o skały, dosięgła już chyba Tatry. Zdawało się, że stamtąd leci ten śpiew, że to legendarne wojsko... już tu zbliża się do nas i z całych Karpat sunie ku równinom i z nami pójdzie krwią pisać granice powstającej Polski.

* * *

Trębaczem był w kompanji. Marcin jego imię. Lubił trąbić marsze i pobudki. Dopóki byliśmy w „hinterlandzie" codziennie nam wygrywał. A potem, gdy stanęliśmy na froncie, więc Marcin trąbkę „zrolował" i przypiął na tornistrze obok kociołka na kawę. Pobudki na froncie nie trzeba było trąbić, a do defilady armatki nam grały.

I tak długo nosił ją, aż jej boki zapadły się — pozaginane — głodne dechu ludzkiego. Żołnierze śmiali się z niego. Że to chyba Marcin na zakończenie wojny tryumfalny marsz zatrąbi, lub szrapnel znajdzie w niej kryjówkę.

Marcin nic sobie z tego nie robił, nosił trąbkę pod Nadwórną, Mołotkowem, w Zielonej, Jasieniowie górnym, a wreszcie w Rokamezzo i w Tjiusce.

Razu pewnego, na kwaterze w Rokamezzo, żołnierze — ot tak z psoty — nasypali bobu w trąbkę. Bób wleciał głęboko w zakręty, a Marcin o niczem nie wiedział. I znów przyczepiona do tornistra, do góry wylotem, powędrowała w okopy za wsią Tjiuszką.

Lecz tu przyszło zdobywać okopy rosyjskie. Artylerja dała kilka „wiwatów" i marsz na bagnety.

Podporucznik Czuma woła: „Trębacz! trąbić do szturmu!"

Marcin odpina trąbkę i dmie niemiłosiernie. A tu nic! Nareszcie któryś woła: „a wysypże bób z trąbki!" Spostrzegł się Marcin na psocie i wnet instrument zestroił. Inni też nie próżnowali. Okopy zostały zdobyte.

A. M.

GOLCZEWSKI WŁADYSŁAW.

Nasza wojaczka

(Dokończenie).

Półgłosem wydaję odpowiednie rozkazy dowódcom sekcji. W lewo krzakami wspinamy się po brzegu parowu do lasu. Tu rozsypujemy się w dwie linje mocno zgęszczone i idziemy naprzód. Skoro las się skończy, mamy bez strzału, ale z głośnym krzykiem skoczyć do szturmu.

Bolszewicy strzałem swej czujki, którą wypłoszyliśmy z krzaków, wiedzą o naszej obecności i na przyjęcie muszą być przygotowani.

Las się kończy. O metrów pięćdziesiąt tor kolejowy. Za torem we wnękach strzeleckich daleko więcej przygotowanych czeka na nas bolszewików. Fabjański już krzyczy hurra. Wypadamy z lasu. Bolszewicy zdążyli dać jedną salwę i zaczęli uciekać. Gonić za nimi nie było sensu. Padliśmy tylko wzdłuż toru i goniliśmy za nimi ogniem naszych karabinów.

Po nadpsutym moście kpr. Brodzik udał się w lewo poszukać za rzekę oddziałów 11-tej dywizji. My na stanowiskach bolszewickiej placówki, zabezpieczyliśmy mu odwrót. Łączność nawiązana. Powrót do Ustja i marsz z kompanją do baonu.

Pułk nasz zajmował się pozycją w okolicach Zabęh. Gryzły się tu z bolszewikami 2-gi i 3-ci baon. Nasz baon 1-szy był w odwodzie. Tu nasza ofenzywa się skończyła. Przebąkiwano, że coś się popsuło pod Kijowem.

Teraz nastąpiły dla nas dnie prawdziwej udręki. Mieliśmy poszarpane wszystkie nerwy. Branża się jednak śmiała, grała na zdobytych instrumentach i czekaliśmy zmiany, kiedy pójdziemy naprawdę do głębokiego odwodu.

Dnia 11-go czerwca, zmieniły nasz pułk oddziały 3-tej d. p. świeżo przybyła z południa. „Południowcy" trochę lepiej się prezentowali od nas. Mieli przynajmniej wszyscy całe buty i ubrania. Karabiny maszynowe, wieźli na grzbietach małych koników.

W jakiejś zapadłej wioszczynie, kilkanaście kilometrów od frontu mieliśmy leże. Wywczasy. Zdążyliśmy połatać ubrania, buty i poczyścić karabiny, przerzucili nas w okolice stacji Poćwitje, na terytorjum 11-tej d. p. dla zatkania jakiejś dziury we froncie. Nasz trud był zbyteczny. 11-ta d. p. zrobiła porządek z niedokładnością we froncie w swoim zakresie.

Nadeszły nowe rozkazy. Pułk nasz przerzucono na północ. Maszerowaliśmy przez Plissę, Łużki, Germanowicze w okolice m. Czeres.

Wędrówkę rozpoczęliśmy 17 czerwca. Maszerowaliśmy przeważnie nocami.

Z dnia 22 na 23 czerwca zmieniliśmy ułanów na pozycji. Od Dźwiny do jeziora Jełmo. Nasza kompanja zmieniła szwadron techniczny 7 p. ul. zajmując pozycje od rz. Dźwiny poza folwark Dreguczy.

Mój pluton obsadził lewy brzeg rzeki Dźwiny i wschodnią stronę ogrodu folwarku Dreguczy.

Przed pozycją mego plutonu, okopy bolszewickie były o kilka kilometrów. Ato ze względu na paskudny teren i za w. Łaszkowem po prawej stronie Dźwiny byli nasi sprzymierzeńcy Łotysze. Mieliśmy łódkę, mieliśmy prymitywne wędki, popsuliśmy kilka końskich ogonów, ku zgrozie taborytów, na włośnie. Łowiliśmy ryby, kąpaliśmy się w rzece i prażyliśmy na słońcu.

Raz podczas plażowania się, rozgadaliśmy się z Szymańskim o naszej przeszłości. Tu dowiedziałem się w krótkości o jego przeżyciach.

Rodziców już nie miał. Miał dziadka, dwóch młodszych braci i narzeczoną, mieszkającą w Busku, czy Kielcach, pochodził z Małopolski. Na pierwszy zew Komendanta ze szkolnej ławy wstąpił do legjonów. W komp. por. Sawy-Sawickiego przebył wszystkie boje legjonowe. Po internowaniu I Br. siedział w Szczypiornie. Stąd uciekł i krył się w lasach Kieleckich, organizując P. O. W. Często przymierał głodem, ale to już nasza żołnierska chroniczna choroba. W powstaniu rozbrajał Niemców i Austrjaków. Przebył wszystkie walki w obronie Lwowa, jako sierżant i d-ca plut. szturmowego. Został ppor. i przydzielono go do kadry 33 pp. W listopadzie 1919 przyjechał na front i objął naszą kompanję.

Dnia 29 czerwca nasz baon został zmieniony przez baon III-ci. Kompanję naszą zmienił ppor. Tabaczyński z dziewiątką.

Kompanja z baonem pomaszerowała do odwodu, ja natomiast z plutonem zostałem przesunięty więcej na północ. Zająłem pozycję nad Dźwiną na wysokości wsi Łaszkowo.

Złożyli nam raz wizytę Łotysze (patrol). Bardzo sympatyczni ludzie. Gadaliśmy po rosyjsku i zjedliśmy wspólnie trzy świeżo zafasowane kury i chleb.

Otrzymałem raz rzokaz, bym skonstatował, czy po Dźwinie płyną świeże wióry, co było dowodem, że czerwoni pod Dźwiną budują mosty i pójdą do ofensywy.

Dnia 3 lipca zmienił nas pluton kompanji 2. My do odwodu. Baon kwaterował we wsi Klemin. Po drodze spotkaliśmy przy budowie okopów kompanję saperów naszego pułku.

Rano 4 lipca — nieszczęsny dzień na całym północnym froncie — było już widno, kiedy przebudził nas huraganowy ogień artylerji bolszewickiej.

Wnet służbowy wrzasnął: „alarm!" W przeciągu pięciu minut pędziliśmy już na plac alarmowy. Była nim piękna duża łąka za wsią. Artylerja kropi już po naszych kwaterach.

Z placu alarmowego, gdzie zbierają się kompanje naszego baonu, widzimy przed sobą cofające się szczątki kompanji III. baonu i postępujących tuż za nimi bolszewików. Kule broni ręcznej gwizdały nam już nad głowami.

Nadjechał dca naszego baonu ppor. Frydrych Marjan. Muszę tu zaznaczyć, że zaszły u nas małe zmiany w dowództwie. Ppłk. Kraupa, dca naszej brygady, w czasie objazdu pozycji został ranny. Brygadę objął kpt. Sawa-Sawicki, pułk kpt. Hryniewiecki, a nasz baon ppor. Frydrych.

Frydrych w nieprzemakalnym płaszczu, ze szpicrutą, w lakierowanych butach, w białych rękawiczkach, wygolony, uperfumowany, z czapą na prawem uchu i fajką w zębach, wydaje rozkazy, aby zdobyć z powrotem utraconą przez III. baon pozycję. Sam pogalopował, by rozbitków z komp. III baonu zebrać w oddział i mieć odwód.

Rozkazy się krzyżują, kompanje rozchodzą się i rozwijają w plutony. Plutony rozsypują się. Kule świszczą, artylerja wali.

Wymijamy rozbitków z III baonu, którzy na tyłach naszych grupują się w oddziały i kroczą za nami jako odwody. Hen, tam za Dźwiną obserwator bolszewicki z balonu widzi nasze ruchy, kieruje artylerją, która celnym ogniem szumi po naszych linjach. Plutonowy Piotrowski zabity. Idziemy dalej. Ppor. Frydrych pędzi tuż z nami na ko-

niu. Szymański próbuje jeszcze raz szczęścia. Zapomniał serdecznie o weselu. Kroczy w linji tyraljerskiej i spokojny, wolno, dobitnie wydaje rozkazy.

Pocimy się, bo słońce praży, jak sto djabłów. Przed nami wieś, w niej masy bolszewików i ogień karabinowy szalony. Przechodziliśmy wieś i idziemy dalej. Bolszewikom przychodzą nowe siły w pomoc. Czerni się od nich na przedpolu! Śmierć zbiera swoje żniwo. Ale okopy zdobyć musimy. Gorąco. Powietrze przesiąknięte prochem i dymem, nie pozwala wprost oddychać. Na drodze druga wieś. Ogień broni i artylerji wzmaga się do największego napięcia. Upici bojem mało zwracamy uwagę i naprzód. Znowu skoki i ogień. Hura! Bolszewicy nie przyjmują walki na bagnety i prawie z przed nosa nam wieją. W innych plutonach są ranni i zabici. Strzelamy i kroczymy dalej. Przed nami hen już widać nasze utracone okopy. Śliczna równina. Masy moskali w linjach, a dalej widać wprost kolumny nierozwinięte. W prawo wskos wieje przed nami jakaś baterja przeciwnika. Odległość 600 mtr. Strzelamy, by wybić konie. Mochy wieją. Otrzymuję postrzał w lewą dłoń. Kula karabinowa gruchocze mi kości dużego i wskazującego palca. Niemiły ból. Ale ręka, to drobiazg. Skok i skok, aby zdobyć okopy, dalej jakoś pójdzie. Zostaję ranny w oba uda. Siadam. Dalej ani rusz. Skończyłem się dla wojny. Fabjański obejmuje pluton. Ppor. Szymański, ranny w nogę, siada na konia i jazda dalej. Trzeciacy zostają wstrzymani. Bolszewicy pchają nowe siły do przeciwuderzenia. W lewo hen daleko zagłębieniem jadą szwadrony kozaków.

Ppor. Szymański dostaje śmiertelny postrzał w brzuch. Pada z konia. Fabjański pędzi mu w pomoc. Pada ciężko ranny. Pędzi Szymańskiemu w pomoc kapr. Nowak i Olechowski, lecz z trzaskanymi goleniami padają przy nim.

Przybiega do mnie sześciu z niedobitków braci żołnierskiej. Trzech brać mnie, trzech po Szymańskiego. Usadawiają mnie na karabiny i w nogi. Szczątki 3-go baonu idą w pomoc naszym chłopcom.

— — — — — — —

Nieśli mnie na karabinach. Wieźli mnie potem na małym wózku, ale ból i duży upływ krwi odebrał mi przytomność.

Przebudziłem się w lesie przy drodze. Pić! Zwilżają mi tylko usta i leją wodę na piersi. Okólski ściąga z grzbietu swego koszulę, drą na kawały i łatają dziury w mojem ciele. Gdzie Szymański? Został. Gdzie jesteśmy? Też nie wiedzą. Przyjedziemy do Łotyszów, dalej jakoś pójdzie.

Na zakręcie słychać jakiś wóz jadący. Okólski odbezpiecza karabin i maszeruje w tym kierunku. Sierżant Rossak Henryk (pełniący funkcje oficera łączności przy sztabie brygady) i plut. Sokołowski. Chwalić Boga, jest przyjaciel i wóz. Jechali z Dryssy i o naszej klęsce nic nie wiedzieli. Ułożono mnie na wozie i jazda dalej. W m. Czeres przylapaliśmy jeszcze czołówkę sanitarną. Zniesiono mnie do jakiegoś domu, zamienionego na szpital i lekarz zrobił opatrunki. Wszystko się spieszyło, bo był rozkaz cofać się. Kupa rannych. Wozów nie ma. Zostawią nas. Szczęściem, znalazł się tu z taborami szef kompanji sierż. Grabowski. Opróżnił jeden wóz, wpakowali mnie na niego, szereg. Sepczyńskiego i Kieronia. Temu chociaż kula przeszyła pierś, mało siedział na wozie. Opiekował się nami i więcej szedł z przekręconą głową, śmiejąc się, że się śmierci wykpił.

Jechaliśmy przez m. Miofy, wprost do Szawkowszczyzny, po drodze pełnej wyboi, dołów i cofających się masy taborów.

Cała Szarkowszczyzna była w płomieniach. Byli tu już kozacy. Skręcamy do Głębokiego. Po drodze, jadący stamtąd ułani raodzą się wrócić, bo za nimi jadą kozacy. Skręcamy do lasu i znowu jazda po leśnych wyboistych drogach.

W Woropajewie dopadliśmy ostatni pociąg kolei wązkotorowej. Włożono mnie do wagonu, gdzie była już kupa rannych. Pociąg miał już ruszyć, kiedy do naszego wagonu wniesiono rannego w brzuch, mego przyjaciela sierżanta Głowackiego Franciszka.

Dojechaliśmy do Święcała. Całusieńki peron usłany był rannymi.

Przez Wilno, Białystok, Warszawę przywieziono nas do Częstochowy, gdzie nie wszystkich przyjęto. Lżej rannych odwieziono do Poznania.

W Częstochowie po kilku dniach jazdy zrobiono mi drugi opatrunek. W drodze brak było opieki nad rannymi i wskutek tego moc żołnierzy umarło. W Częstochowie jednak byliśmy otoczeni szczególną opieką lekarzy i sanitarjuszek, a łaskawe obywatelki i obywatele tłumnie nas odwiedzali, przynosząc nam kwiaty, słodycze, książki, gazety i miłe uśmiechy.

— — — — — — — —

Do pułku na front już nie wróciłem. Pułk natomiast, uzupełniony ochotnikami, rekrutami i oficerami, cofnął się pod Warszawę, po drodze odgryzając się całusieńki czas od bolszewików. Brał udział w wielkiej ofensywie 16 sierpnia. Pod Osowem przełamywał front bolszewicki, gdzie zginęło dużo naszej braci, między nimi dzielny sierżant Michalak. Potem przerzucony na Wołyń, staczał dalej krwawe walki. Na Wołyniu zginął pchr. Ortowski w czasie szarży kozaków na nasz I-szy baon. Zginął tu dawny mój dca szkoły ppor. Latour Stanisław. Zginęło tu masę podoficerów i szeregowców. Jednak przez szeregi ofiar dopięliśmy celu.

— — — — — — — —

W 1921 roku w styczniu wyczytałem w rozkazie, że „dekretem L. 2455 z dnia 21. XII. 1920 r. w myśl ustawy sejmowej z dnia 2. VIII. 1919 r.

został mianowanym z dniem 1 kwietnia 1920 r. śp. podpor. Szymański Karol porucznikiem".

Najdokładniej opisał mi śmierć Szymańskiego kpr. Olechowski. Wzięty z boiska i leczony w szpitalach moskiewskich, po wojnie wrócił do Ojczyzny na kuli, bez najmniejszej władzy w nodze. Śmierć Szymańskiego opisał mi w następujący sposób: „Skoro zostałem ranny, leżałem od Szymańskiego o cztery kroki. Nie mogłem się ruszać z miejsca. Obok nas leżał z rozbitą nogą kapral Nowak. Bolszewicy, goniąc za rozbitym naszym baonem, swoim sposobem zaczęli nas rabować. Myśmy byli przygotowani na to, że nas dobiją. Zabrali nam wszystko, cośmy posiadali w kieszeniach, nawet bluzy i buty. Gdy obrabowali Szymańskiego, prosił ich, aby zwrócili mu fotografję jego narzeczonej. Bolszewicy zadość uczynili jego prośbie. Fotografję schował do kieszeni. O krok był krzak, podczołgał się tam i przewrócił się na wznak w jego cieniu. Leżał tam spokojnie przez pewien przeciąg czasu. Był mocno blady. Po pewnym czasie prosił mnie i Nowaka, abyśmy się do niego przyczołgali. Z wielkim trudem zrobiliśmy zadość jego życzeniom. Wyciągnął do nas rękę i wymówił te wyrazy: „Pozwólcie, niech uścisnę wasze dłonie. Dziękuję wam za wszystko. Jeżelim wyrządził wam kiedyś jaką przykrość, darujcie mi, bo ja już umrę". Po wyrzeczeniu tych słów, zamilkł i w poprzedniej pozycji leżał spokojnie. Skoro zjawili się sanitarjusze bolszewiccy, zbierając rannych swoich i naszych, Szymański już nie żył. Co z nim zrobiono dalej, nie wiem. Gdyż nas zabrali na nosze, a Szymański został".

Taką miał śmierć ten młody i nieustraszony legjonista. Tak dzielnie umierało tysiące naszej młodzieży, walcząc w obronie Ojczyzny.

Nie doczekali dnia, by Ją widzieć wolną i potężną po szeregu krwawych walk. Umarli, zapomniani już przez tych, co żyją. Kości ich bielą się hen na krańcach Jej granic. Mogiły może już zdeptane i zaorane!

Cześć Wam!

Łomża, maj 1924 r.

Bohaterska śmierć kresowczyka w walce o Lwów

II.

Nastał dzień 17. listopada. Dzień straszny, ponury, pełen grozy! Dzień jednego z najzaciętszych ataków ukraińskich na Szkołę Kadecką! najdzielniejszej obrony! największych ofiar! Około 7-ej rano rozległ się alarm: „Kto może, niech się zbiera! Przez podwórze Szkoły na cmentarz stryjski!"

Tu wszystkie wczoraj nasze jeszcze placówki były już zajęte przez Ukraińców. Trzeba było przebiec ostrzeliwaną gęsto ulicę Kadecką, aby stanąć na cmentarzu. Ta mrozpoczęła się zacięta walka, po której Ukraińcy zaczęli się cofać. Nasi parli za nimi, odbierając placówkę po placówce. Broniąc się zaciekle, powoli cofali się Ukraińcy do parku stryjskiego.

Włodzimierz z oddziałem Jadźwińskiego biegł cmentarzem w dół. Około 12-tej wyparłszy Ukraińców do parku Stryjskiego cofnięto się do Szkoły Kadeckiej na obiad i spoczynek, po którym miano przygotować kontratak. Sierżant Głogowski zbierał patrol. Włodek poddał się na ochotnika.

Już jeden oddział z Wulki poszełd był w dół, ale się cofnął. Teraz poszedł oddział Głogowskiego. Góra św. Jacka obsadzona była przez Ukraińców i gdy Głogowski ulicą Stryjską spuszczał się na dół, spotkał się z szaloną strzelaniną z góry św. Jacka. Cudem uszli wtedy śmierci.

Wśród tego biegu i tej strzelaniny Włodek z Sobierańskim podnieśli rannego towarzysza, ukryli, a sami pobiegli naprzód. W tym bohaterskim ataku, gdzie kilku zaledwie (było ich 10) młodzieńców rzuciło się na wroga, odkrytemi, gęsto ostrzeliwanemi ulicami, gdy każda sekunda czyha na ich życie, dobiegli do końca ulicy Stryjskiej i tam sierżant Głogowski wyznaczył Włodkowi Skibniewskiemu placówkę koło budki elektrycznej przy zbiegu ulicy Stryjskiej i św. Zofji, gdzie kilka godzin sam jeden bronił wyznaczonego mu posterunku.

Widziano go z okolicznych okien, jak stał w tem miejscu zupełnie nieosłonionem, wśród gradu kul ukraińskich.

„Strzelając sam bezustannie, uchylał kilkakrotnie przed kulami głowę i zamieniał jednocześnie z jednym również jak on nieustraszonym towarzyszem, jakieś uwagi, których nie mogliśmy dosłyszeć, a które nie musiały być dla nieprzyjaciół pochlebne, gdyż mówił stale z uśmiechem na ustach..." — pisał do nieszczęśliwej matki jego bezstrony widz, który z okien sąsiednich śledził przebieg walki.

W godzinę potem dosięgła go śmiertelna kula jedna!... druga!...

„Dobrze dostałem!" wyrzekł do podnoszących go towarzyszy czy sanitarjuszy. „Weźcie mnie stąd, by mnie wróg nie dobił". A gdy złożono go w suterenach, w mieszkaniu ubogiej a li-

tościwej krawcowej, zapytał: „Czy jestem w polskim i katolickim domu?“

To były ostatnie jego słowa...

* * *

W jednej chwili spełniła się ofiara życia całego!

Kilkunastudniowe napięcie Ducha i odwagi stało się syntezą tego wszystkiego, co Duch jego zawierał w sobie dla oddania Ojczyźnie i Życiu. I w tem najwyższem napięciu wewnętrznem skończyła się ziemska wędrówka. Włodzimierz Skibniewski był typem młodzieńca, którego wydać i wychować mogły tylko Kresy.

Przyroda tamtejsza, pola bezkresne, bujne łany, kolor nieba — przeszłość tej ziemi, jej byt niepewny i wieczne stróżowanie i wieczna czynność — składały się na ten najbardziej charakterystyczny typ polskiego kresowego rycerza.

Tam na Kresach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie życie polskie tętniło najżywiej, pod dachem polskiego dworu, tam w mroźne wieczory zimowe, gromadzono się w ostatnich lat dziesiątkach. Czytano: Ogniem i Mieczem, Potop, Pana Wołodyjowskiego, Postacie Wołodyjowskiego, Podbipięty, Skrzetuskiego wprowadzały chciwą fantazję młodych rycerzyków podolskich w zaczarowany świat marzeń o życiu bohaterskiem — o poświęceniu się dla Ojczyzny...

A latem, kiedy dawne bujne stepy, teraz już starannie uprawne i zakwitłe zbożem, kiedy można było na koniu zapuścić się dalekiemi tęsknemi drogami, aż w głąb tej zaczarowanej ziemi, jak łatwo można było fantazją troskliwą odnaleźć kurhany, gościńce i drogi — „ślady“, któremi to „oni“ chodzili.

I jak Pan Wołodyjowski! jak Podbipięta!... wystawiony sam na kule wroga! wytrzymujący swą piersią jego natarcie!... Tak oto właśnie zupełnie w ten sam sposób, wypełniło się wszystko!...

A. S.

Z walk o wolność

II.

Zestawienie umieszczenia jeńców przy końcu grudnia 1918 r.

Nr. celi	Ilość więźniów	powierzchnia m²	powierzchnia na jedną osobę	objętość pow m³	objętość pow na jedną osobę	UWAGA
29	30	15·45	0·51	61·76	2·05	Według przepisów hygieny liczy się we wieziteniu na 1 człowieka powierzchni 2 m² objętości 15 m³.
38	62	27·47	0·44	108·50	1·75	
24	85	39·35	0·46	178·58	2·10	
23	66	37·58	0·57	170·98	2·60	
21	63	37·66	0·60	172·71	2·74	
22	72	37·96	0·52	172·71	2·40	

Powietrze w tych celach było zatrute. Ponadto dla zupełnego braku opału, mimo przepełnienia, temperatura w miesiącach zimowych zwykle wynosiła 1 do 2 stopni. Skutkiem tego i braku obuwia, znaczna ilość odmroziła nogi tak, że w kilku wypadkach odpadały palce, następowała gangrena i śmierć.

Do cel przynoszono po dwa dzbanki wody na dzień, a klucznik żądał za przyniesienie większej ilości wody po 80 koron za dzbanek. Niektórzy żołnierze, którzy zdołali przechować pieniądze pod bieliznę, wydali je w pierwszym miesiącu dla zaspokojenia pragnienia.

Wikt następujący: śniadanie o 10-tej. Kawa bez cukru (prawie woda); obiad o 6-tej wieczór — rodzaj zupy przyrządzonej z mąki kasztanowej, albo buraków lub dyń kiszonych i mniej więcej 200 gramów stęchłego chleba na dobę. Czasami przez kilka dni z rzędu chleba nie dawano. Nic też dziwnego, że przy takiem traktowaniu wybuchły choroby, jak tyfus plamisty i czerwonka. Nie było mowy o przenoszeniu chorych do szpitali, lecz pozostawiano ich nadal w celach. Po miesięcznym pobycie w takiem więzieniu, żołnierze przedtem zupełnie zdrowi, pełni sił, wyglądali jak szkielety. W kilku wypadkach następowała puchlina głodowa, powodująca pewną śmierć. Jedyną opiekę sanitarną spełniał pewien żydek, fryzjer, który sam obawiając się epidemji, nie badał chorych, lecz przez drzwi podawał proszki, za które sobie kazał płacić na wagę złota. Kto nie miał pieniędzy nie otrzymał lekarstwa. Dopiero w ostatnich dniach grudnia, po wizycie lekarskiej, zmniejszono ilość jeńców w celach do 40. Pozatem nic się nie zmieniło i chorzy w dalszym ciągu pozostawali w celach między zdrowymi.

Poraz pierwszy na Boże Narodzenie otrzymał Komitet Pań w Tarnopolu wstęp do więźniów. Dzięki staraniom tego Komitetu udało się, mimo

wszelkich przyrzekań ze strony władz ukraińskich, tylko 16 chorych przewieźć do szpitala. Również kilkakrotne protesty i zażalenia pułkownika Rybińskiego zostały bez odpowiedzi i zazwyczaj pozostawały u strażnika.

Od stycznia pozwolono Komitetowi Pań donosić pożywienia dla jeńców. Dzięki tej właśnie pomocy zawdzięczają swe życie ci, którzy doczekali dnia dzisiejszego. Niema wprost wyrażeń dla określenia wdzięczności i podziękowania paniom, które z całem zaparciem się, poświęceniem, niczem się nie zrażając, niosły pomoc. Same też padły ofiarą epidemji. Zaraziwszy się we więzieniu, prawie wszystkie zachorowały na tyfus plamisty, a pięć zmarło.

W dniu 13. lutego 1919 zwiedziła więzienie polska Delegacja Czerwonego Krzyża z p. Dulębianką na czele. Na skutek protestu tej delegacji i obawiając się, aby inne zapowiedziane Misje zagraniczne, nie zastały tego opłakanego stanu rzeczy, urządzono szpital dla więźniów w gmachu Sokoła, gdzie w początkach marca chorych umieszczono, a zdrowych przeprowadzono do gimnazjum.

Z 443 jeńców znajdujących się wówczas jeszcze we więzieniu, było 268 chorych i tylko 175 zdrowych, z których większa część przeszła już tyfus plamisty. Z 19 oficerów przebyło 16 tyfus plamisty. Polska organizacja zaś własnym kosztem urządziła szpitalik i dom rekonwalescentów dla jeńców i internowanych i od tej pory los chorych znacznie się poprawił.

W szpitalach na ogół zachowywano się z jeńcami poprawnie, t. zn. byli traktowani na równi z żołnierzami ukraińskimi, a to dzięki temu, że przeważnie były pielęgniarki Polki. Cierpieli li tylko na ogólny brak lekarstw i ukwalifikowanych chirurgów. Kilku rannych z tego powodu zmarło na gangrenę i wielu pomimo kilkakrotnych operacyj zostało kalekami na zawsze, choć rany ich nie były ciężkie. Jedynie w szpitalu epidemicznym urządzonym w szkole przemysłowej, robiono za czasów kierownictwa tego szpitala przez medyka Bergstoffa wielką różnicę pomiędzy Polakami a Ukraińcami. Wspomniany medyk sam rozdawał tak potrzebne podczas tyfusu plamistego wino. Dawał je tylko Ukraińcom, mówiąc, że Polakom i tak za dobrze się dzieje. Wysyłał też jeńców Polaków natychmiast po odgorączkowaniu, nie mogących jeszcze o własnej sile trzymać się na nogach, z powrotem do więzienia, podczas gdy Ukraińców — jak to po tyfusie plamistym jest przepisem — tygodniami trzymano pod opieką szpitalną. Oczywiście wielu Polaków z tego powodu zmarło.

W połowie kwietnia więźniów mikulinieckich wywieziono do obozu w Dolinie. Pozostali tylko chorzy w szpitalach i z tych 25. maja zabrano jeszcze 4 oficerów nie wiadomo dokąd. Krążą pogłoski, że ich stracono.

Stan odziału mikulinieckiego przed wywiezieniem zdrowych do Doliny.

	w Tarnopolu	straty			zwolnionych	uciekło	poza ewidencją	Suma
		zabitych	zmarłych	zaginionych				
oficerów	19	3	2			1	1	26
żołniezzy	437	14	31	33	6	2	2 2	725
razem	456	17	33	33	6	3	203	751

Uwaga 1. Do zabitych podczas rzezi w Mikulińcach należy zaliczyć rubrykę zaginionych, t. zn. takich, których dnia 28. listopada 1918 rano w Mikulińcach widziano, a którzy do Tarnopola nie zostali przyprowadzeni. Ponadto trzeba do straconych w Mikulińcach zaliczyć 30 procent rubryki było Czechów, Niemców i Włochów.

2. W rubrykach „zabici" i „zmarli" umieszczono li tylko z pewnością skonstatowane wypadki. Oczywiście, że zmarło w Tarnopolu więcej, jednakże nie można było się o wielu wypadkach dowiedzieć, ponieważ łączność pomiędzy szpitalami, więzieniem i obozem w gimnazjum była niemożliwa do utrzymania. Liczbę zmarłych w Tarnopolu możnaby skonstatować, gdyby się można

Dnia 1. czerwca b. r. znajdowało się jeszcze: w szpitaliku Organizacji Pań dwu oficerów, 5 szeregowców; w Sokole 11 szeregowców; w szpitalu powszechnym 3 szeregowców; w szpitalu zadowiedzieć ile jeńców mikulinieckich wywieziono do Doliny.
kordonowym 1 szeregowiec — ogółem 2 oficerów i 20 szeregowców.

Podobny memorjał w języku francuskim wręczono w marcu Misji szwajcarskiej, co przyczyniło się do zmiany przychylnej opinji, jaką ta Misja dla rządu ukraińskiego żywiła.

Przedkładam to sprawozdanie Komendzie i melduję, że w obrabowaniu tak oddziału, jak i dworu hr. Reyowej w Mikulińcach brała udział ludność ruska następujących wsi: Myszkowice, Łuczka, Nastasów, Łuka Wielka, Ładyszyn. Prócz materjału wojennego i gotówki wymienionej z kas batalionowych, zabrano cały prywatny majątek oficerów i żołnierzy, z czego w gotówce około 400.000 koron. Jak się dowiedziano, bagaż oficerski, złożony w pałacu, zabrano rzekomo dla oddania w Tarnopolu, jednakże żaden z nas nic nie otrzymał.

Przez cały czas niewoli nie wypłacono ni-

komu gaży ani żołdu, tak oficerom jak i żołnierzom, chociaż na podstawie umowy zawartej dnia 1. lutego we Lwowie władze ukraińskie były do tego zobowiązane.

Spisy oficerów i żołnierzy pozostawił dowódca grupy pułkownik Rybiński u mnie z poleceniem przedłożenia dokładnego sprawozdania o oddziale, pierwszej Komendzie polskiej, wkraczającej do Tarnopola.

Jedyna realna korzyść, jaką wyprawa tego oddziału dla sprawy przyniosła, polega na fakcie, że w krytycznych czasach odsieczy Lwowa, Ukraińcy byli zmuszeni, wszelkie oddziały zebrane w okolicy Tarnopola, jak również część zakordonowców, dążących w stronę Lwowa, skoncentrować w obrebie Tarnopola. Oddział nasz był śledzony od Jarmoliniec, t. z. od 21. listopada 1928 przez Ukraińców. Sami przyznawali, że gdyby nie wypadki pod Mikulińcami, byliby Lwowa nie oddali i dlatego się w ten sposób znęcano nad oddziałem.

Dla Ciebie Polsko!

(Z zapisków śp. por. Zdzisława Baczyńskiego).

2-go listopada 1918 r. kiedy to już silnie rozgrzewała się walka, a kule po wszystkich dzielnicach latały, nie mogąc wytrzymać dłużej w łóżku — byłem bowiem chory — wstałem i udałem się do Sokoła Macierzy, gdzie zastałem wielu znanych mi legjonistów i zameldowałem się u por. Wróblewskiego. Od niego otrzymałem rozkaz zabrania ochotników i rozbrojenia patroli ukraińskich, kręcących się koło kawiarni szkockiej. — Trudno zebrać ludzi, łatwiej aniżeli uzbroić. W końcu i to się udało. Zebrawszy 8 chętnych, między nimi Kopcia Stanisława z bratem Romanem, dawnych legunów, na wiadomość, że właśnie jakiś patrol się kręci wyszliśmy, no i za pół godziny wróciliśmy z 6 karabinami i 1 rewolwerem. Dalsze jednak rozbrajanie było nie na rękę komendzie, nasz powrót bowiem zanadto zwracał uwagi ludzi, tak że zachodziła obawa, że ukraińcy zrobią rewizję w Sokole, szpiegów bowiem było nie mało.

Tymczasem w Sokole zebrało się z 60 ludzi, których miano wysłać na Pełczyńską. Przejście było możliwe tylko kanałami. Wkrótce znalazł się nieznany mi inżynier, który zaprowadził nas na Kochanowskiego i ztamtąd kanałami do remizy. Straszny to był marsz. Błoto, woda brudna, niemożliwie. Obrzydliwe robactwo jakie co chwila za kołnierz nalatywało i echa bitwy nad nami, rozstrajały najzupełniej. W końcu wyszliśmy z remizy tramwajowej a stamtąd na Issakowicza do Domu Technickiego. Po uzbrojeniu nas i umundurowaniu niektórych wysłano na Wólkę, gdzie dostałem komendę nad placówką nr. 2. redutę przyczółka mostowego. Podkomendnych miałem 56 ludzi, przeważnie same dzieci 14, 15, letnie i dwóch braci, dzisiejszych poruczników Brichów, ci byli starymi żołnierzami. Przyczółek ten mostowy stanowił bardzo ważny punkt w linii obronnej, bronił bowiem szosy no i wejścia do koszar wólenickich, które dominują nad całą Wólką. Na lewo stał ś. p. kapitan Starck, na prawo por. Bergman na moście Kulparkowskim. Tam też wytrzymaliśmy siedm ataków ukraińskich, a atakowali nas trzy razy „siczowi strilci". Chcąc scharakteryzować moich chłopców, poruszyć muszę taki oto fakt: Trzeba było wysłać patrole, wołam więc najstarszego żołnierzyka i daję mu rozkaz. Ten zaś: „Boję się panie porucznik". A czego się boisz? pytam — „tam koń zabity leży". — W bitwie jednak

były to wilki, wilki na których śmierć nie robi wrażenia a rana przymusową tylko przerwą jest w walce. Dość że przetrwaliśmy, a kiedy 12. XI. ukraińcy cofnęli się do „Sołonki", a oddział wulecki rozwiązano wstąpiłem do oddziału jazdy rotmistrza Krynickiego Tadeusza do Wilków, tam otrzymałem komendę nad 1-plutonem. Patrole, ciągle walki o kilkadziesiąt klm. od Lwowa, bo Lwów sam był w ukraińskich rękach, były naszym celem. I tak wypady na Domażyr, Bartatów, Gródek Jagielloński, gdzieśmy całą załogę z 6 karabinami maszynowemi i 200 ludzi wypędzili z miasta w 30 koni — ledwie mając tylko jeden karabin por. Nittmana Michała.

Atak na Kozice, Rzęsnę polską i ruską, wywiady w Sokolnikach, wypad na Skniłów, Sołonkę, Zubrzę, ataki we Winnikach, pod Laszkami, zdobycie Srok i Zboisk, obrona Dublan, służba ubezpieczająca miasto przed rabunkami, wywia-

dy na Sichów, zdobycie Dawidowa a następnie przy pomocy pociągu pancernego Starego Sioła. — to nasze walki. — Walki tej kawalerji, która powstała z niczego: siodła, broń, konie, mundury, zdobywając sobie sama na nieprzyjacielu zdobyła też do 200 jeńców, tych których się już brać musiało, 2 armaty i 37 karabinów maszynowych. W końcu przyszła ofenzywa no i wreszcie swobodą. Lwów wolny.

* * *

Ś. p. porucznik Zdzisław Baczyński, jako młody chłopiec wstąpił w roku 1914 do 1-szej Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego, gdzie początkowo służył w artylerji, a następnie w kawalerji. Jako żołnierz, następnie podoficer legjonista brał udział niemal we wszystkich walkach 1-szej Brygady. Z chwilą formowania się armji polskiej jako podporucznik walczył z Ukraińcami. Zginął, wskutek nieszczęśliwego wypadku z bronią w czerwcu 1921 roku w Grudziądzu.

Cześć Jego pamięci!

Śp. Irena Beutschówna

Urodzona pod Poznaniem. Ojciec jej był nauczycielem. W czasie wojny światowej była sanitarjuszką w wojsku pruskiem i z armją pruską przybyła do Przemyśla. Kiedy prusacy cofali się, opuszczając miasto, Irena uciekła i wstąpiła do Legjonów. Brała udział w obronie Przemyśla jako sanitarjuszka. Następnie przywdziała mundur legjonisty a dnia 13 grudnia 1918 wyruszyła pod Niżankowice. Przeważające siły Rusinów otoczyły polskie zastępy, złożone z młodocianych ochotników. Gdy nasi chwiać się zaczęli, pochwyciła ś. p. Irena karabin i ze słowami: „Naprzód za mną, bracia!" rzuciła się w bój. Prawie w tej samej chwili padła, ugodzona kulą w policzek. W parę dni później znaleziono ją nagą na pobojowisku (Rusini zdarli z niej odzież). Zwłoki jej przywieziono do Przemyśla i pochowano na cmentarzu niedaleko grobowca „Poległych w obronie miasta".

Od Wydawnictwa do P. T. Czytelników

Z numerem 51-szym zamykamy piąty rok wydawnictwa, względnie 50-ty miesiąc od czasu ukazania się pierwszego numeru „Panteonu", t. j. od 1 listopada 1924 r.

Przeszło 800 stron druku, kilkaset ilustracji, tysiące nazwisk, kilkaset opisów, fragmentów i t. d. — oto nasz dorobek.

„Panteon" powstał z inicjatywy jednostki i utrzymywany jest wyłącznie tak pracą, jak i funduszem tejże jednostki. Niestety, musimy to podkreślić: nie znaleźliśmy drogi, by doznać najmniejszej chociaż pomocy ze strony tych sfer, które nieraz szczodrze wspierają przeróżne pisma.

A może dlatego, że jesteśmy pismem, poświęconem historycznym wypadkom i walkom o wolność z czasów od powstawania naszej siły zbrojnej przed wojną, że notujemy szczegóły, których przeważnie dotychczas nikt nie ujawnił, że wymieniliśmy kilka tysięcy nazwisk poległych bohaterów, a wreszcie, że od 1924 r. krzewimy ideologję Komendanta i Jemu i Jego wiekopomnym czynom poświęcamy trzecią część naszych szpalt, — nie doznaliśmy tego honoru czy szczęścia, by nietylko doczekać się najmniejszego nawet wyróżnienia, ale chociażby skromnej pomocy dla dokończenia podjętej pracy.

Wobec tego, że dotychczas do pisma dopłaciliśmy około 15.000 złotych, bowiem kilkuset czytelników nie jest w stanie opłacić kosztów wydawnictwa — *zwracamy się do P. T. naszych stałych i wiernych Czytelników z zapytaniem:*

Czy pragną, by „Panteon Polski" dalej wychodził, a jeśli tak,

to jaką kwotę na 1929 mogą przyznać na pismo, którego przedpłata wynosić będzie również tylko 10 zł. rocznie (5 zł. półrocznie).

By pismo się utrzymało z własnych funduszów, potrzeba przy obecnym stanie jeszcze 500 czytelników, względnie 5000 zł. Zatem albo *każdy* z dotychczasowych czytelników zjedna *jednego nowego*, albo każdy przeszle pewną kwotę nad wyznaczoną przedpłatę. Wydawca nie odciąga się od dopłacenia jeszcze jednego tysiąca zł. w roku 1929, więcej nie może.

W tece redakcyjnej leżą jeszcze stosy niewyzyskanych artykułów z czasów Związków Strzeleckich z przed 1914 r., z Legjonów, z czasów P. O. W., 3-tej dywizji syberyjskiej; w przygotowaniu jest „Bibljografja Legjonów" i t. d. Czy będziemy mogli je drukować, to zależy od Was — Szanowni Czytelnicy!

Prosimy zatem o odpowiedź możliwie do 20-go tego miesiąca. Również prosimy tych, którzy nie reflektują na „Panteon Polski" w 1929 r., by wymówili przedpłatę do 20-go bm.

Załączamy kartkę na odpowiedź.

Wydawnictwo „Panteonu Polskiego"
Lwów, Skrytka 98.